Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Konto czekowe Poczt. Kasy Oszczędności Nr. 150.709. **Cena N-ru 80 Mkp.**

Wydawn. ROK 54. KRAKÓW, DNIA 16. LIPCA 1922. Nr. 29.

DJABEŁ

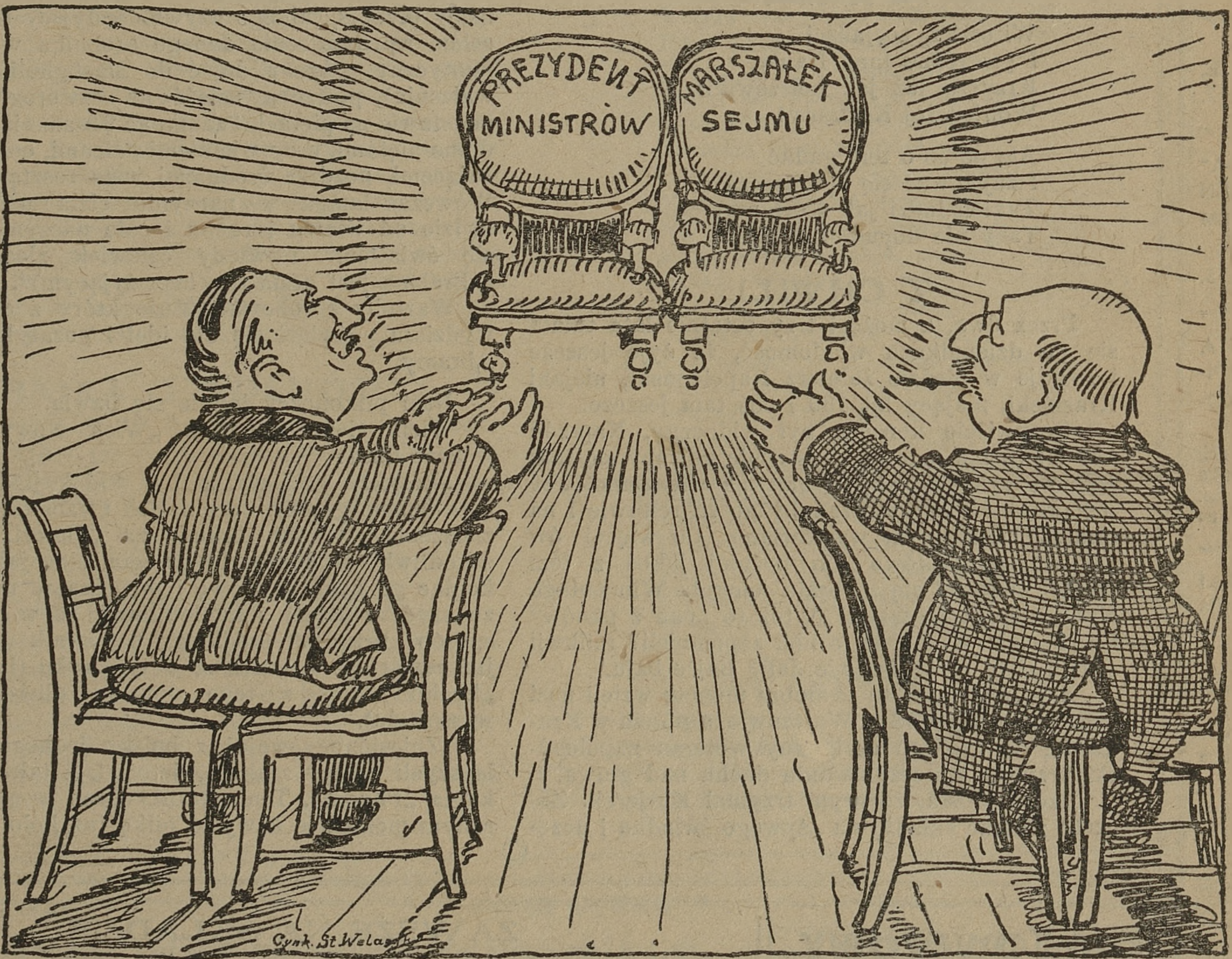
Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ“ WŁADYSŁAW BORKOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 80 Mkp.

PRENUMERATA W KRAKOWIE I NA PROWINCYI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:
MIESIĘCZNIE 300 MKP.
Cena egzemplarza 80 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

W KLUBIE »NA DWÓCH STOŁKACH«.



Z arystokratą demokrata,
W jednym się klubie dzisiaj brata.
Zarówno Bawoł jak i Feder
Zerkają obaj na Belweder;

Rano ściskają się z lewicą,
Wieczór szachrują znów z prawicą
Podwójnej gry tej jedne cele:
Zamienić stołki na fotele.

Całoroczna prenumerata w Ameryce kosztuje 4 Dol.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prenumerata Tygodnika „Djabeł" wynosi wraz z przesyłką pocztową miesięcznie 300 Mkp.

Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:
Władysław Borkowski, Kraków ul. Niecała L. 4.

Z »PRZESILENIA«

Nie wydajcie mnie z sekretu:
Ma prawica takie „planty",
By prezesem gabinetu
Został pan Korfanty.

Widzę jak bijecie brawo,
Mówiąc: takich trzeba właśnie!
Lecz się zwierzę wam z obawą,
Że ta gwiazda zgaśnie.

Ach, nie sama — bo ma sporo
Światła na potrzebę naszą —
Lecz jak chronić ją przed sforą
Trutniów, co ją zgaszą?

Witosiści, socjaliści
I przeróżne inne franty,
Krzyczą już jak bolszewiki:
Won! dałoj Korfanty!

Ale po co o tem gadać
I zajmować się tą tłuszczą?
Takich ludzi jak Korfanty,
Tacy nie dopuszczą.

Z CHWILI.

Przez dwa, a może i trzy ostatnie lata tułała się po dziennikach wiadomość, że żyje jeszcze i zostaje w biedzie żołnierz Napoleoński, niejaki Krasiński, mający lat 130 i coś tam jeszcze.

Oczywiście nonsens był widoczny. Naprzód 130 lat to nie byle co. Następnie gdzieby się taki żołnierz uchował, aby o nim nie wiedziano. Toć już przed 40 laty uważanoby go za relikwię i na ołtarzu publicznym wystawiano. Co więcej ów żołnierz początkowo (bo później jakoś z tem ucichł) podawał się za brata jenerała Wincentego Krasińskiego. Bagatela! A toż to „pan z panów" i w biedzie. Krasińscy o nim zapomnieli? relikwii swego rodu przytułku nie dali? Bajże baju.

A jednak farsę tę za dobrą monetę wzięli nasi gazeciarze, naprzód w Warszawie, a potem w Krakowie, do którego czcigodny weteran napoleoński przybył w poszukiwaniu dachu nad głową.

Rzecz prosta, że prym trzymał Kurjerek. Zaczęto zbierać składki na „żywego świadka i uczestnika r. 1812", a nawet z wyższego polecenia opiekować się nim kazano pułkowi ułanów ks. Józefa, boć i ów K. był niegdyś ułanem służącym pod bohaterem Raszyna.

Jeden tylko *Djabeł* był tak niepatrjotyczny, że drwił sobie z owej relikwji, a raczej z naiwności jej czcicieli.

Świeżo w Warszawie przeprowadzono śledztwo, którego wynikiem było, że czcigodny weteran napoleoński ma lat nie 130, a tylko 80, a więc urodził się w lat 20 po śmierci Napoleona, że był nie polskim ułanem lecz moskiewskim policjantem i że jest ...prawosławny. Wprawdzie weteran się oburzył, ale jako dowód swej służby pod Napoleonem przyniósł poświadczenie... z kancelarji dzisiejszego Belwederu. Widocznie w tej kancelarji urzędują jego koledzy z czasów napoleońskich, kiedy mu świadectwo wystawić mogli.

Korzystając ze sposobności podajemy do wiadomości Kurjera, że żyje jeszcze, choć na razie nie wiadomo gdzie, konfederat barski, z pod chorągwi Pułaskiego. Wartoby go odszukać, a przynajmniej urządzić na rzecz jego zbiórkę, lub przedstawienie w Bagateli.

Krakowskiemu Towarzystwu metapsychicznemu do wiadomości i zużytkowania:

W dziełku Desages'a „De l'extase on de miracles comme phenomenes naturelles" wyczytaliśmy przepis, jakiego używali indyjscy Brahmini celem wprowadzenia danego osobnika w sen hipnotyczny. „Ażeby dojść do Mashghulii (jasnowidzenia), potrzeba usiąść na czworograniastej podstawie na piętach i zamknąć 9 bram ciała: dwie dolne piętami, uszy wielkiemi palcami, oczy wskazującemi, nozdrza średniemi, usta resztą palców. Wówczas lampa w naczyniu ciała uchroniona będzie od wiatru i ruchu i całe naczynie stanie się światłem" i wtedy człowiek zjednoczony z Brahmą jest atma (duchem żyjącym)".

Wartoby sprobować. Może który z członków wydziału poświęci się dla idei i pozatyka swoje ...bramy.

Nasi piłkonożcy ładnie się bawią.

Wielki ich zwolennik „Wiek Nowy" pisze w nrze 6281:

„Przykry nad wyraz był widok padających ustawicznie graczy, cucenie ich i nacieranie, oraz znoszenie z boiska. Bramkarza „Victorii" „unieszkodliwił" środek ataku „Pogoni" na jakiś czas, kopiąc go nogą w głowę i przecinając ucho. Zaznaczyć to należy i napiętnować, że w podobny sposób „urządza" środkowy napastnik „Pogoni" już czwartego bramkarza w tym roku (bramkarz „Lechii" leżał z tego powodu dłuższy czas w szpitalu).

„Zniesiono również z boiska jednego z najlepszych graczy ataku „Victorii", a także bramkarza „Pogoni". Ten ostatni, chcąc w niebezpiecznym momencie chwycić piłkę tuż koło słupa—

uderzył głową w słup i zemdlał. Jednem słowem match cały nazwać można raczej ordynarną bójką, a nie zawodami footballowemi“.

Żartem napisaliśmy, że footballowi grozi sport bokserski, bo głupi, niekulturalny i dziki tłum, którego gustom odpowiada dziś piłka nożna, zasmakuje jeszcze więcej w bijatyce na większą skalę.

I oto nasz żart sprawdził się. W Warszawie tłumy pędzą na walki pięściarzy, na pierwszy „meeting bokserski w Polsce“.

Zachwyca się tem „Goniec Krakowski“ (nr. 186):

„Wreszcie — pisze — doczekano się w Polsce prawdziwego meetingu bokserskiego. Piękny(?) praktyczny(?) i zdrowy(?) ten sport... u nas był zaniedbany“.

W dość obszernem sprawozdaniu Gońca między innemi czytamy:

„Staszkiewicz, uczeń gimnazjalny, ćwiczący w boksie dopiero od roku, wykazał daleko więcej techniki, siły ofenzywnej i zwinności, niż Penner, przewyższający go wzrostem i wagą. Po trzech rundach młodziutki atleta podniósł na ringu rękę jako *gorąco oklaskiwany zwycięzca.*

„Mniej pracy miał Paul Carpentier, *sympatyczny* brat sławnego Jerzego, z Godlewskim, który w drugiej rundzie nie mógł się podnieść *po silnem uderzeniu w szczękę.*

...Wreszcie mistrz Balcerkiewicz z mistrzem Samsonem. W spotkaniach bezpośrednich Samson fouluje. Raz chwyta Balcerkiewicza wpół i *dusi mu krzyż. Sędzia odrywa Niemca i rzuca nim jak piórkiem na ziemię. Szalony aplauz publiczności.* Balcerkiewicz wciąż atakuje, mierząc świetnie w okolicę serca. W czwartej rundzie *błyskawiczne podwójne uderzenie w szczękę i w brzuch. Samson wali się kno-kout na materac. Publiczność porywa Balcerkiewicza na ramiona.* Ogólne brawa żegnają polskiego championa“.

A co? nie ładna zabawa? Serce skacze z radości przy czytaniu takich opisów.

BAJKA O WOLNOŚCI.

Niech żyje wolność! krzyczał biegając po łące
Źrebak, który przypadkiem urwał się z łańcucha
I tratował z zapałem wonnych ziół tysiące.
Aż mu znudzony komar powiedział do ucha:
Od kopyt twych ucierpi tylko żyzna rola,
To co zowiesz wolnością, jest pusta swawola.

GABINET FACHOWY.

Anglicy pragną mieć „na właściwem miejscu właściwego człowieka“. Rzymianie zaś mówili: „nomen-omen“. Stosując się do tego ułożono następującą listę kandydatów do gabinetu złożonego wyłącznie z posłów sejmowych.

Minister spraw zagranicznych: Feliks Duda lub Zawada.

Minister spraw wewnętrznych: Dominik Tutaj.

Minister skarbu: Antoni Chudy, Jerzy Kantor, Jan Pieniążek, Perl.

Minister komunikacji: Tabor.

Minister aprowizacji: Józef Bochenek, Franciszek Maślanka, Teofil Kurczak, Antoni Pączek, Eug. Okoń.

Minister wojny: Jakób Bojko lub Szczepan Piechota.

Minister oświaty: *vacat.*

Minister handlu i przemysłu: Kazimierz Krawiec, Tadeusz Tabaczyński, Jan Smoła.

Minister rolnictwa: Tomasz Wróbel lub Fr. Jęczmyk.

Minister sprawiedliwości: Antoni Mizera.

Minister robót publicznych: Adam Cieśla.

Na prezydenta gabinetu upatrzono albo ministra sprawiedliwości Mizerę, albo Jana Skrzypka albo Józefa Zamiarę.

NOWE MODY.

Bez gorsetów chodzą panie —
Nic ich wdzięków nie krępuje —
Wyglądają jakby banie —
Brzuch swobodnie występuje.
Gołe ręce, gołe nogi,
Piersi jakby z margaryny —
Obojczyki jak dwa rogi —
A figura jak cytryny.
Z tyłu wszystkie dziś kobiety
Dwie półkule posiadają,
Które jakby z galarety
Wciąż się trzęsą i wciąż drgają!
Może dla kobiet piękności
Ja mam małe zrozumienie,
Lecz mnie sprawiają w całości
Mamek wygląd i wrażenie!
Na sukniach zaś różne zwoje
Mają, kółka wielkie, małe,
Glisty, karakonów roje,
Poczwarek zastępy całe!
Na głowach jakieś turbany,
Lub kutasy w dół zwieszone —
Jakby garnczek polewany —
Samowary przepalone!
Być może, że dzikich żony
Tak się stroją pod równikiem
Ale u nas strój ten czczony,
Zamętów pojęć wynikiem!
U mnie kobiecy strój taki
Wzbudza jedynie śmiech pusty,
Straszyćby nim można ptaki
W sadzie, albo wśród kapusty!

NA KOMISJI.

Przewodniczący (do członków). Muszę zaznaczyć, proszę panów, że zebraliśmy się nie po to, aby powziąć jakie postanowienie, ale jedynie dlatego, aby komisja się odbyła.

DYALOG.

Siedziałem z przyjacielem. Jakiś był skwaszony,
Pytam o zdrowie jego dziatek, wreszcie żony —
— Zdrowe są — odpowiada — Pociecha jedyna,
Że choć zdrowe. — Więc pytam: w czem leży przyczyna,
Że tak smutny, znudzony, czy zmartwiony srodze.
— Tak, mój miły, — rzecze — ledwie ja już chodzę!
Strasznie mi zbrzydło życie — aż trudno dać wiarę
Nie wiem, czem zasłużyłem sobie na tę karę!
— Chłopie kochany! — rzekę — A bój-że się Boga!
I jakaż ci się stała krzywda taka sroga?"
Tu on, o czarną kawę krzyknąwszy i likier,
Poprawił na nosie cwikier,
Rozsiadł się lepiej, głowę wsparł na stole
I tak się zaczął uskarżać na dolę:
— Depczę tę ziemię dość już długo chyba,
Zdrów niby jestem, jak ryba,
A przecież mi gorzko w duszy;
Gorycz jakaś gardło suszy
I gniew gwałtowny dłonie kurczy w pięście —
Zdarza mi się to nawet coraz częściej —
Czemu? Sam pytam! Darmo w łeb się skrobię
I darmo chciałbym odpowiedzieć sobie,
Bo ile razy bólem dławion jęknę,
Sam przyznać muszę, że życie jest piękne,
Że słońce świeci prześlicznie, bajecznie,
Że przecież kochać możnaby serdecznie,
I kiedy myślę, że ta życia sława,
Tak złota, pyszna, to właściwie krwawa
Jest tylko męka, gdy myślę, że ludzie
Dla zysku ręce w kale, w błocie, w brudzie
Nurzają, kiedy wreszcie pomyślę, że ojce
Gnębią dzieci, zaś dzieci ojców, że ogrojce
Męki i cierpień są rozkoszy sady,
Że kajdanami duszy są zasady,
Że patryotyzm nasz jest tej natury,
Aby ojczyznę łupić aż do skóry;
Że nasze wielkie polityczne partje
Na kraj się biedny rzucają jak harpje.
Kiedy pomyślę o tej naszej doli..."
— Tu mu przerwałem: Mój bracie, powoli!
Me dobre rady niechże ci posłużą:
Jak na człowieka, myślisz waść — zadużo!

NA PRZEDMIEŚCIU.

— Na bok, Antek, samosmród leci!

— A pies go pogryzł, niech leci na złamaną ulicę!

Tuż za idącymi środkiem drogi rozlega się urywany, donośny ryk trąby samochodowej.

Andrusy ustępują z drogi.

— Panie djable! Daleko do piekła? — krzyczy jeden.

— Warjat! *Na syra!* — wtóruje drugi.

Samochód mija andrusów i pędzi dalej, rycząc przeraźliwie.

— Trąbi, psi syn, na ludzi, jak na *psów!*

— Cholera! *Dawni* ze zwyczajnym wściekli-stą to ci łatwa, brachu, była opera... Podłożyłeś ino na ścieżkę parę *fest kaźmirków, abo* między szprychy wetknąłeś patyk i już po krzyku! *Lucyper* się sypie do góry kółkami w jedną stronę, frajer pyskiem na twarz w drugą i frajda gotowa... Ale temu czortowi chorobę co zrobisz!

— E, i takiemu zbraknie *dechu, abo* i w kuprze trzaśnie... Raz się to trafia, czy co? O, widzisz go, już *ustał!*

Samochód bzyknął głośno, coś w motorze zgrzytnęło — stanął. W jednej chwili zebrała się dokoa gromada gawiedzi. Posypały się szyderstwa i kpiny.

— Panie mechaniku! Co to, dech panu *ucik?*

— To samosmród kolka *sperła...*

— Czekaj, ino bęziny łyknie, to zara nabierz drygu!

Okazuje się, że naprawa wymaga dłuższego czasu.

Podróżny siada do przejeżdżającej przypadkiem dorożki, palacz w dalszym ciągu usiłuje naprawić maszynę.

— Chłopcy, nie ma tu blizko kowala?

— O jej! I dochtór niedaleko *mięszka* i *aptyka zara...*

— Stul gębę, łobuzie — woła Antek — kiedy ci się pan po ludzku pyta, to gadaj... O, proszę pana, tu zara na lewo *je* kowal.

Palacz spieszy do kuźni.

— A cóżeś tak *zmięk, fielantropie?* Naurągał sie przedtem, napyskował, a *tera taki* skory do *ratonku!*

— Czekaj, głupi, zobaczysz moją *miętkość...* Zara ja go tu dziobnę...

Wydobył z za cholewy długi, cienki, ostro zakończony okrągły pilnik i „dziobnął" nim z siłą cztery razy, w cztery obręcze gumowe. Powietrze uleciało z głośnym sykiem.

— To ci dech puściły!

— Patrzaj, jak gumy usiadły na *szosy!*

— Mechanik wraca! *Będzie opera!*

— Bardzo się go boję! Nie mam to „dzioba"?

— Patrzcie go, jaki kozak! Dużo mu zrobisz „dziobem", jak puknie do ciebie z *leworwela!* Taki bez *leworwela* ani rusz!

— *Dali,* chłopcy, dęba a żywo!

Palacz załamał ręce nad samochodem. Łobuzy wyglądali z poza węgła domu.

— To ty, Antek, już z *majchrem* nie chodzisz?

— O frajerska łapo! Tera byle *szczeniaki* majchrami się bawią, a prawdziwy *antek* to jeno *dziobem robi!*

W BIURZE PASZPORTOWEM.

— Pański zawód?

— Technik, pracujący we włosach.

— E! co mi pan zawraca głowę. Gadaj pan wprost: szczotkarz czy golibroda.

LEKARZ SĄSIAD.

— Kto jest ta pani, której się kłaniałeś?

— To moja pacjentka i zarazem sąsiadka — mieszkamy o ścianę.

— Pacjentka? Ależ ona wybornie wygląda.

— Bo też jej nic nie jest. Ot nieco się przeziębiła i trochę kaszle. Zapisałem jej proszek na kaszel i zabroniłem grać na fortepjanie.

— Co?

— No, przecież ci powiedziałem, że jest moją sąsiadką o ścianę.

RÓWNA MIARA.

Wpada do krawca rozgniewany klijent.

— Panie, tak się nie godzi. Zapłaciłem panu grube pieniądze za to ubranie, a już się po miesiącu rozchodzi...

— Ouwa! Te „grube pieniądze“ któreś mi pan zapłacił, już mi się trzeciego dnia rozlazły — a ja nic nie mówię.

MODLITWA DZIEWICY.

Pannie Wandzi zachorował obłożnie narzeczony. Przeraziła się ogromnie, a jako pobożna, padła na kolana i wygłosiła taką modlitwę:

— O Boże! zachowaj mi przy życiu mojego Władzia, abym nie potrzebowała szukać sobie innego narzeczonego.

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Pan Michalski finansowy
Bardzo wiele obiecywał —
Że to człowiek jest morowy,
Każdy po nim się spodziewał —
Że po daniny ściągnieniu
Miliardów będą fury —
I ku wszystkich pocieszeniu
Marke podskiknie do góry —
Dobry czas dla nas nastanie —
Czas ogólnej zamożności —
Wszystko będzie bardzo tanie —
Będzie moc wielkiej radości!
Lecz niestety my zawody
Przez niegi tylko doznali —
Narobił nam tylko szkody —
Złe się na nas ciągle wali!
Marki kurs gorszy niż było —
Una już nie ma wartości —
W skarbie pustki aż nie miło
Wspomnieć, bo to ino złości!
Un podwyższył nam szalenie
Stemple, pocztę, telegramy,
Kolej, wszelakie palenie,
Że zaledwie już dychamy.
Danina miliardowa,
Co dręczyła nas jak zmora,
Znikła, bo jej skarb nie chowa
Jakgdyby lotna kamfora!
Un od złego chcąc ratować,
Od deficytu wybawić,
Zdołał tylko proponować,
Aby wszystko wydzierżawić.
Un chciał skarbu wielkie dziury
Wyratować dzierżawcami —
By obcy z nas darli skóry —
Byśmy zostali dziadami!
Nie ministrem finansowym
Jemu było bicz z tej racji,
Ale agentem fachowym
Od dzierżawy propinacji!
Un gdyby, co nie daj Boże!
Jeszcze dłużej ministrował,
Toby całą Polskę może
Obcym pewnie arendował!

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany).

I. Przed spacerem.

Niech mi redaktor „Epoki“, p. dr. Wł. Włoch, wybaczy. Jest tak gorąco, że nie można pisać. Muszę iść gdzieś za miasto i odetchnąć świeżem powietrzem. Więc chcę jaknajprędzej wypełnić miejsce na fejleton mój przeznaczone. Ale nie byle czem. Niech mnie zastąpi autor aforyzmów, jakie znajduję w ostatnim numerze „Epoki“. Poprostu je przepiszę. Niektóre są bardzo dobre:

„Słuchając wielu uchwał naszego Sejmu, chce się postawić pytanie: czy głupstwo przestaje być głupstwem, jeżeli się je powtórzy pięćset razy? Ale pytanie to zdaje się godzić w same podstawy parlamentaryzmu — dajmy więc temu spokój“...

„Rozpowszechnionem jest twierdzenie, że ludzkość składa się z wilków i baranów. Ktoby znał ludzkość tylko z obrad politycznych, mógłby dojść do przekonania, że to twierdzenie powinno brzmieć: ludzkość składa się z samych wilków z mózgami baranów“.

„Mimo wszelkie różnice, pomiędzy arystokracją i demokracją istnieje jedno zasadnicze podobieństwo: przy ustroju arystokratycznym rządzą z reguły najgorsi, przy demokratycznym również“.

„Nasze historyczne przesilenie już dawno stało się dla Sejmu kręceniem się w kółko kota celem pochwycenia własnego ogona. Do końca ogona przywiązuje się coraz to nowe nazwiska, ale ogon wciąż jest nieuchwytny. Kto tego kota wreszcie chwyci za głowę, aby stanął i oprzytomniał?“

Dosyć. Trzeba odpocząć. Pisma przeczytam w nocy i dowiem się, co się dzieje. Choć kilka godzin nie myśleć o tym rozgardjaszu! Nikt nie może zmusić wolnego obywatela, żebym się ciągle martwił i denerwował. Nawet Sejm suwerenny.

Idę na Błonia. Do widzenia!

II. Tytułomanja.

Zamiłowanie Polaków do tytułów i godności jest ogromne i powszechnie znane. Prawie każdy Polak studjujący zagranicą dodawał do swego,

często bardzo skromnie brzmiącego nazwiska szumne „de“ lub „von“. A polskich hrabiów zna też cały zachód. Nasze urzędy są przeważnie „główne“, nasze dyrekcje bywają zwykle „generalne“. Zresztą może i słusznie, gdyż zamiłowanie do generalizowania jest narodową naszą cechą. Referenci bywają zwykle starsi, to samo można powiedzieć o maszynistkach. Chociaż laikowi wydawałoby się dziwne to zamiłowanie u młodych i zwykle przystojnych maszynistek, jednak sumienny badacz kultury odrazu zrozuie, o co chodzi. Są to wpływy kultury chińskiej, gdyż właśnie w „państwie środka“ mówi się do 14-letnich podlotków „czcigodna, zgrzybiała, szczególnie niedołężna babko“. Jak widzimy — żółte niebezpieczeństwo nie jest znów tak dalekie. Radzę, żeby się kto doktoryzował na temat tych dalekich wpływów, zanim nie staną się tak blizkie, że będzie zapóźno.

Cóż robić jednak. I mnie nawet dotknęła manja tytułowa. Kiedy w towarzystwie, w którem tytułowano mnie redaktorem — powiedziałem, że nim nie jestem, pewna osoba (potężnej zresztą tuszy, co tu dla ścisłości zaznaczam) zapytała mnie: a jak do pana mówić? Skromnie odpowiedziałem, że tytuł „pan“ zupełnie mi wystarczy, zwłaszcza, że mam się za pana z panów. Odpowiedziano mi — że „pan“ mówi się do wszystkich, a mnie chcianoby wyróżnić za moją inteligencję— oczywiście i za — bo ja wiem zresztą za co?

Chodzę teraz i myślę i myślę. Sądzę, że może tytuł „Głównego prezesa generalnej komisji starszych członków redakcji do pisania drobnych fejletoników“ byłby o tyle skromny, o ile odpowiedni.

Zwłaszcza, że wyczytałem w jednem z pism, iż rozwiązanie szarad należy nadsyłać do „Prezydjum działu szaradowego redakcji“ — to ładne! Mój Boże, żebym to ja został kiedy prezydentem — choćby i od rebusów.

III. Człowiek bez adresu.

Znajomy mój, pan na kilku doktoratach, chodził od dłuższego czasu bez humoru, smutny, wręcz przygnębiony. Domyślałem się strat na walucie, akcjach, zawodu w kartach, polityce albo miłości.

Był to dzień słoneczny, niedaleko teatru zajęliśmy na plantacjach ławkę. „Jestem człowiekiem bez adresu“; rzekł mój znajomy głucho. W tych prostych słowach czaiło się tyle grozy, tyle tłumionych uczuć, że zadrżałem jak kiedyś w kinie na „Dżumie we Florencji“. Przypomniały mi się jakieś dawno temu czytane powieści: „Człowiek z żelazną maską“, „Mąż bez cienia“, „Hrabina z zielonemi oczami, „Dziewica ze złotą plombą“.

„Jestem człowiekiem bez adresu! — Obowiązek wygnał mnie z rodzinnego miasta het w daleki świat, gdym wrócił, zastałem gniazdo przez obcego przechodnia przy pomocy urzędu mieszkaniowego zajęte.

„Najdemokratyczniejszy nawet szef urzędu ma swój gabinet, nie licząc kancelarji i schronienia dla maszynistki, ja się tułam bezdomny. Niebios usiane gwiazdami sklepienie jest mi dachem nad głową, widnokrąg ściany mi daje, przydrożne zarośla ...... lecz cóż tu gadać! Któż zliczy katusze moralne mnie nękające. Jeżeli człowiek z trzech się zasadniczych składa pierwiastków: wykazu osobistego, czeku i adresu, to jestem istotą niekompletną, — mam wykaz, dumny jestem z zaczątków czekowych, lecz nie mam adresu — i to mnie zabija!“

Kończył, wstał i nie żegnając się poszedł w zadumie. We mnie wezbrała gorycz! Raj bolszewicki! Ochrona lokatorów! Zgniecenie nie mających nieraz co jeść burżujów-kamieniczników!

Pan prezes głównego zarządu Tow. akcyjnego „Filutia“ bierze po za tantjemą i obrotami osobistemi akcjami 250.000 mk. rocznie za mieszkanie o ośmiu pokojach a płaci tysiąc na miesiąc. Pan starszy zecer zarabia 84.000 mk. miesięcznie, dwie córeczki biurowe razem 25 tysięcy mk., mieszkanie kosztuje ich 175 mk. na miesiąc.

Stefan czerpiący wiedzę w szkole średniej po długiem bieganiu chwycił pokoik we trzech, a więc ściśle biorąc $^1/_3$ pokoju i płaci, to jest właściwie jego ojciec, 5000 mk. na miesiąc bez herbaty, opału i światła.

Oto plon zasiewu smoczych zębów rewolucyjnych rządów z zarania naszego państwa.

Teraźniejszość sypie kopce nieznanemu żołnierzowi, potomność wzniesie obelisk „człowiekowi bez adresu“, który cierpiał za miljony — cudze! A muzeum wystawi jego skórę, jako zabytek i szczątek czcigodny ostatniego koczownika we wschodniej Europie.

IV. Psi fryzjer.

W Paryżu założono w pobliżu Arc de Triomphe luksusową łaźnię dla psów Oprócz zwykłych kąpieli i tuszów mogą otrzymywać także kąpiele mineralne Przy łaźni funkcjonuje psi fryzjer.

Z gazet.

Po dziesięciu prysznicach Hektor czuł się wcale dobrze. Szczeknął radośnie i z zadowoleniem przejrzał się w lustrze. Nagle do sali wbiegła figlarnie mała suczka-pinczerek, obwąchała go i ironicznie szczeknęła:

— Hau-u! ha-ha-u! Taki piękny pies, wilk z najlepszej rodziny, żeby miał taki nieuczesany ogon!... Wstyd! Hu-ha-u! Hau!...

I bojąc się jego zemsty, uciekła.

Chociaż Hektor byłby ją z rozkoszą pogryzł, ale w głębi swej psiej duszy przyznał rację małej pinczerce. To, rzeczywiście, nie wypadało, żeby on, Hektor, wilk - arystokrata, miał nieuczesany ogon.

Nie filozofując długo, Hektor zaczął szczekać przed drzwiami, na których znajdował się napis: „Salon pour les chiens“.

Po chwili drzwi się otworzyły, an progu stanął barczysty jegomość z długą brodą, który mu się nisko ukłonił.

— Szanownemu psu ogon uczesać? — zapytał słodko mistrz.

— Ha-u! hau!...
— Z przedziałem?
— Ha-u! hau!...
— Podgolić od dołu?...
— Hau!...
— Kolońską?...
— Hau!...
— Skropić vegetalem?...
— Hau!...
— Przypudrować?
— Hau!...
— Włoski żelazkiem?
— Hau!...
— Owiązać serwetką?...
— Hau!...
— Massaż pyszczka?
— Hau!...
— Łapeczki umyć?
— Hau!...
— Na wąsy bindę?
— Hau!...
— Nosek uczernić?
— Hau!...

„Zabiegi“ skończyły się. Hektor przejrzał się w lustrze, a fryzjer zaczął liczyć.

— A teraz rachuneczek. Szanowny pan pies, jak widzę z naszyjnika, jest własnością barona de Ginsbourough. Dziś jeszcze prześlę rachunek. Należy się za:

golenie	fr. 1.50
strzyżenie	„ 3.00
massaż pyszczka	„ 5.00
uczesanie	1.00
skropienie kolońską	„ 1.40
skropienie vegetalem	„ 1.50
przypudrowanie	„ 1.00
owiązanie serwetką	„ 1.00
otarcie ręcznikami	„ 1.00
uczernienie noska	„ 1.50
założenie bindy	„ 1.00

„A więc ogółem należy się“...

Fryzjer ogólnej kwoty już nie wymienił. Raczej nie mógł wymienić. Już podczas czytania tej litanji Hektor szczerzył groźnie zęby i warczał złowieszczo. Psy nie są takie cierpliwe jak ludzie. Hektor nie pozwolił skończyć fryzjerowi, lecz rzucił się na niego i począł go gryźć.

— Za przypudrowanie — hau! hau! Za skropienie kolońską — hau!... za uczernienie noska — hau! hau!... hau!... Nie jestem głupim człowiekiem, lecz psem z dobrego rodu... hau! hau!... Ludzie są głupcami, ale pies-wilk nie pozwoli się wykiwać na frajera... — hau!... hau!...

NADESŁANE.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski — Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.